

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



**Niezwykłe przygody Don Kichota z La Manczy
według Miguela Cervantesa de Savedry
na nowo opowiedziana przez Wiktora Woroszylskiego**

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

Rozdział pierwszy, w którym nie mieszkając, bo i po cóż mieliby mieszkać, pojawiają się bohaterowie książki: Don Kichot i Sanczo Pansa

Przez skwar, od jasnego nieba do rudej roli jak na sznurze wielkie pranie sztywno rozwieszony w powietrzu, przez skwir ptactwa polnego, przez ojczystej ziemi skwierczenie na przyrody i dziejów gorącej blasze, jedzie, kolanami chudymi chude boki rumaka swego Rosynanta ściskając, bohaterski rycerz Don Kichot.

Już niebawem dowiedzie się o nim więcej, w pierwszym zdaniu zaś o to tylko chodziło, żeby wjechał Don Kichot w ów skwar i skwir, i skwierczenie, i zarazem pierwszy ślad na tej białej przedtem kartce zostawił, i przejechał dalej, a wy – byście oczy zaciekawione na rycerza unieśli i czekali, co też go spotka.

Jedzie, chudy i długi, spiczastością kolebiącej się w siodle postaci widnokreśli okrągłe kłując, z Rosynantem jak on kościstym niemal jedność tworząc, niezmierzony Don Kichot, już niemłody, nim wyruszył bowiem w swą drogę, do rycerskiej doli sposobiąc ducha lat strawił wiele, jedzie więc nasz bohater, oby Bóg mu sprzyjał i Wszyscy Święci!

Parę kroków za nim, na osiołku brzuchem powłóczącym po ziemi, Don Kichota giermek, Sanczo Pansa jak miech pękaty, wypukłością kształtów mnąc i tłamsząc prostą krechę drogi, w skwar ten sam, a jakby nie tak doskwierający, wjeżdża, w skwir ten sam i skwierczenie, byście jego także dojrzeć zdążyli, boć i o nim dowiedzie się wnet co niemiara, a na razie – byle go dojrzeć, jak za panem swoim walecznym pierwszy ślad na białej zostawia karcie.

Jadą obaj, nierozłączni w tej opowieści i w pamięci świata, różni tacy, że trudno o większą różność, nie do pomyślenia wszelako – Don bez Sancza, Sanczo bez Dona.

Don Kichot, chudy i długi, niczym tyka grochowa ku górze pnie się.

Sanczo Pansa, bulwiasty ziemniak, bruzdy się trzyma.

Don Kichot, srebrny kłos wybujały, wiatr kołysze nim, żeby tylko nie złamał!

Sanczo Pansa, nać przyziemna, z pędrakami ledwie-ledwie pełznąca, nie popędzisz jej, nie przepędzisz!

Jeszcze można do drzew porównać obydwu: Don Kichota do topoli w błyszczącym hełmie, Sancza – do przysadzistej oliwki, myśmy nie zwyczajni takiego drzewa, lecz w Hiszpanii oliwka, co wody prosi niewiele, w twardy grunt korzenie wbija czepliwe, owocem zaś mięsistym, choć drobnym, bez sknerstwa darzy, tam oliwka – jak sąsiad znany od dziecka, niebogaty, szary, ale zaradny, on nie zginie i z nim nie zginiesz.

Jadą, nierozłączni, rycerz i giermek, rycerz przodem, giermek, jak przystoi, parę kroków za nim, w górze niebo rozpostarte jasność rozlewa, w dole – końskich i oślich kopyt bębnienie w skórę ziemi napiętą, a przed nimi – niewiadome przygody.

Rozdział drugi, w którym wszyscy śmieją się z szaleństwa Don Kichota, autor zaś, choć powinien się z tego cieszyć, ma uczucia mieszane

W naszych czasach nie ma już, niestety, błędnych rycerzy.

W czasach, w których żył i wędrował Don Kichot, też ich już właściwie nie było, i dlatego wytykano Don Kichota palcami, i rysując palcem kółko na czole śmiano się do rozpuku.

Kiedy mówię o czasach Don Kichota, mam na myśli te czasy, w których nieśmiertelne życie jego poczęło się w wyobraźni człowieka imieniem Miguel de Cervantes Saavedra i niezwykle przygody Don Kichota przez tegoż Cervantesa po raz pierwszy opisane zostały w dwóch grubych księgach.

Ja jestem tym, co opowiada wam je na nowo kilka wieków później w czasach zupełnie innych, mających jednak z tamtymi przynajmniej tyle wspólnego, że w nich także nie ma błędnych rycerzy.

Może zresztą nie tylko tyle, ale na razie nie będziemy się w to wdawali.

Miguel Cervantes de Saavedra urodził się w połowie szesnastego stulecia w Alcalá de Henares, małej mieścinie na północ od Madrytu, jako jedno z siedmiorga dzieci niezbyt zamożnego szlachcica (po hiszpańsku – zapamiętajcie to słowo – **hidalga**), parającego się medycyną. Kiedy byłem w Hiszpanii, odwiedziłem Alcalá de Henares, a w nim – stojące po dziś dzień domostwo pana doktora, z wewnętrznym podwórkiem, na którym rośnie drzewo figowe i wodą orzeźwiającą darzy niewielka studnia. W pokojach obejrzałem stare meble i inne przedmioty – i wiecie, co uderzyło mnie tam najbardziej? Łóżka – bo uświadomiłem sobie naraz, jacy mali i drobni musieli być ludzie, którzy w nich sypiali. Jeżeli tacy byli współcześni Don Kichota, cóż dziwnego, że gniewał ich i śmieszył między innymi wzrost, którym rycerz wybijał się nad otaczający go tłumek! Już ten wzrost oznaczać musiał dla nich dziwoląga, odmienca... A może Miguel de Cervantes sam był wyższy od innych i niemało się przez to nacierpiał, i dlatego bohatera swojego obdarzył taką postacią, przenosząc na niego własne upokorzenia i współczując wymyślonemu bardziej niż mógłby sobie żywemu? Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tak właśnie było...

Ale teraz zbyt nam przecież pilno do walecznego rycerza i dziwnych jego przypadków, byśmy chcieli dokładniej zająć się życiem, choć też niezwykajnym, tego, który go stworzył. Pomijając więc wszystko, co było przedtem, odnajdźmy Cervantesa w momencie, gdy z

pobrużdżoną już twarzą i siwiejącą brodą, w dużym i bardzo pięknym (wiem, bo także byłem mieście Sewilli, lecz, niestety, odgradzony od wszystkich jego piękności, za siedmioma zamkami, za siedmioma troskami, za siedmioma smutkami i nieszczęściami, w sewilskim więzieniu pióra się chwyta, by w zbroję rycerską odziać i na koń wsadzić bohatera imaginacji swojej, jegomościa Kichanę, co się przezwiał był Don Kichotem...

Czemuż to – sam się sobie dziwiąc, pyta Cervantes – niemłodego już i steranego w tę wyprawę żmudną wysyłam? Czyżby w moim, który ruszyć się stąd nie mogę, zastępstwie miał przestworem cwałować, od skrepowań wszelakich wolny, nie podległy nawet myśli potocznej, rozsądną zwanej, mój bohater jak ja szalony, lecz inaczej niż ja – nie wstydzący się swego szaleństwa?

I tu nad samym jego uchem głos się rozlega, jakby do własnego podobny, a inny – nie słyszany dotąd – głos Don Kichota: cóż słodsze – mówi głos ów – nad wędrowkę w poszukiwaniu przygody, nad stawianie czoła łotrostwu w obronie wdów, sierot i dziewic napastowanych?

Ach, nie! – broni się przed pokusą Cervantes. – Pisarzowi cel zbożny winien przyświecać: ku przestrodze i pouczeniu powstają dzieła. I ja też ucieszną historię o Don Kichocie szalonym opowiedzieć pragnę, by rodaków przed wpływem przestrzec, jaki szerzą opowieści rycerskie. To one umysły mącą, prawu życia niewierne, swoim prawem ułudnym na manowce zwodzą...

Ledwie wszakże wypowiada oskarżycielskie te słowa, mimowolne westchnienie tęsknoty z piersi mu się wyrывa: ileż ja im oddałem nocy, jak słuchałem ich głosu...

I jakby tylko czekał na tę chwilę słabości, metaliczny głos księgi rycerskiej, w mieczy jasne szczęknięcie oprawny, przybywa z oddali: dając ci miecz, przyjmuję cię do stanu rycerskiego – huczy – który nie uznaje żadnej podłości. Pamiętaj o tym, rycerzu, że kiedy przyjdzie ci walczyć, a pokonany przeciwnik błagać będzie o litość, wysłuchaj go, proszę, i z zimną krwią nie zabijaj...

Wzburzony Cervantes wstaje z zydła i zaczyna chodzić po celi. Wojny, w których walczył, stają mu przed oczyma, lądowe i morskie – podobnego głosu, pamięta, nikt nie słyszał wówczas! Dobijano leżących, dłonie ucinano bezbronnym, czci kobiecej nie oszczędzano... Może kiedyś istniało prawo rycerskie, aleć dzisiaj czas nowy – sławny wiek szesnasty oto końca dobiega, siedemnasty w fanfarach wschodzi – podłość rządzi światem i małość, nie uznaje zaś jej chyba tylko Don Kichot!

I tu w celi samotnej pisarza wrzawa się rozlega, śmiechy, głosy z wszystkich stron, przekrzykujące się wzajem:

- Oblakany Don Kichot!
- Naczytał się tych bredni!
- Na uwięzi, jak psa, trzymać go trzeba!
- Inkwizycji Świętej na próbę oddać!
- Patrzcie, patrzcie, ludzie, na oblakańca!
- Śmiejcie się z Don Kichota!

Są to głosy współczesnych – i Cervantes chciałby przyłączyć się do nich, sam więc nie wie dlaczego, miał przyklasnąć ogólnemu weselu, odzywa się z raptowną popędliwością:

– Hola! Nie myślicie chyba, że ja, autor, razem z wami naigrawam się z nieszczęśnika! Śmiejcie się – po to piszę tę książkę – ale znajcie miarę, bo wasz głośny triumf mnie mierzi. Odrobina szacunku i współczucia też należy się rycerzowi. Podnieście go z ziemi, zdejmijcie zbroję strzaskaną, zaprowadźcie do łóżka...

I już widzi, że stanowczy rozkaz jego zostaje spełniony, ktoś podnosi Don Kichota, prowadzi go ostrożnie – ach, toć i ja po kilku wiekach to samo widzę – i wy, trochę tylko wyteżcie oczy, też widzicie, nieprawdaż? – jak rycerza we wrota domu jego wprowadzają,

naprzeciw gospodyni przejęta ze schodów zbiega: Matko Miłosierna! – woła. – Mój pan! Cóż to się stało? Przeczynałam biedę, gdy przepadł przed trzema dniami razem z koniem i zbroją!

– Znalazłem go bez czucia na drodze – pocziwy sąsiad klaruje – a gdym spytał, co mu dolega, o Rodrygach jakowychś i Baldwinach powiadał, ani chybi w gorączce...

– Przywołajcie wrózkę Urgandę, aby mię opatrzyła i wyleczyła rany – słabym głosem prosi Don Kichot.

Gospodyni potężne ramię nadstawia, radzi Don Kichotowi, żeby się oparł, i dorzuca: – Bez tej jakiejś Furkandy poradzimy uleczyć was, panie, byleście zechcieli nas słuchać. O, przekłete księgi, które rozum wam pomieszały!

Ceryantes odkłada pióro i zamyśla się. Nie zna jeszcze dalszego ciągu swej opowieści, ale jedno wie: że Don Kichot nie usłucha tych, co uleczyć go pragną z rycerskiego szaleństwa, gdyby bowiem usłuchał, bohater opowieści przestałby istnieć, a i w ogóle opowieści tej by nie było...

Rozdział trzeci, w którym dowiadujemy się, co miał i czego nie miał Don Kichot, wyruszając na pierwszą swoją wyprawę

Pierwszą wyprawę, z której w tak opłakanym, jak widzieliśmy, powrócił był stanie, samopas, bez giermka odbył Don Kichot, a to dlatego, że nie miał go jeszcze wcale.

Przez wiele lat sposobił się do wyprawy, wiedzę z ksiąg o szlachetnym rzemiośle rycerskim czerpiąc i wciąż nowe nabywając foliały, trzeba zaś wiedzieć, że nie było to w owych czasach tanią rozrywką, droższą nad grę w kości było lub polowanie, musiał więc nasz **hidalgo**, by namiętności do lektur uczynić zadość, raz po raz włóki ziemi odziedziczonej po ojcach sprzedawać, i tak stopniał jego majątek, ledwie domek mu został, parę grzęd za domem oraz koń żółzowaty w stajni.

Gospodyni jego rumiana i siostrzenica blada (miał, jak z tego widać, gospodynię i siostrzenicę) porządnie musiały się nafrasować, żeby w podupadłym tym gospodarstwie miska soczewicy na stole była codziennie i gołąbek w niedzielę.

Zatopiony w księgach Don Kichot o tak błahe bytowania drobiazgi mało się troszczył.

Kiedy zaś uznał, że czas już najwyższy na rycerską wyprawę ruszać, jeśli bowiem dłużej zwlekać będzie, krzywdy ludzkie nienaprawione zostaną, łzy nieotarte, bezceństwa nieukarane, jednym słowem – świat szkody poniesie, jakich wolałby nie mieć na sumieniu Don Kichot, kiedy uznał zatem, że czas na niego, zaraz gestem stanowczym księgi na półkę odłożył, zbroję przywdział, konia dosiadł i przed lipcowym świtem gorącym na rozstajne drogi wyjechał.

Tę zbroję miał po przodkach: rdzą i kurzem przeżarta, wieki w jakimś kącie leżała – wyciągnął ją, wytrzepał i wyszlifował, aż zdatną mu się zdała do boju, z jedną tylko skazą, że bez przyłbicy. Z tektury przyłbicę przyczepiwszy więc do szyszaka, na próbę mieczem ciął i zniszczył za pierwszym ciosem. Niezrażony, nową zrobił, na blaszanej obręczy, i tej już na wszelki wypadek nie próbował mieczem.

Rumaka w stajni znalazł – wiadomo już, co to był za rumak – i Don Kichot wiedział, nim go osiodłał – ale siodłając nadał zarazem konisku imię nowe i piękne: Rosynant – i z tym imieniem dźwięcznym, którego żaden wierzchowiec przedtem nie nosił, gdyż Don Kichot sam je wymyślił w trudzie wyobraźni, z tym imieniem więc koń wydał mu się całkiem inny niż dotąd, po chabecie chuderlawej nie zostało śladu, kopytem grzebał najwspanialszy z rumaków świata, godny swego pana Rosynant.

Bodaj że i Rosynant poczuł swoją odmianę, w chwili bowiem gdy go Don Kichot dosiadł, zarżał donośnie i tak jakoś wyzywająco, chociaż z lekka chrapliwie.

W opowieściach, na których Don Kichot wzorował swe postępowanie, każdy rycerz miał damę serca: piękną panią, czasem nawet księżniczkę, którą kochał gorąco i miłości tej dowodził na wszelkie, zdarzało się, że bardzo dziwne sposoby. Musiał więc i nasz rycerz, oprócz zbroi i konia, mieć damę serca: obrał nią urodziwą wieśniaczkę ze wsi Toboso, imieniem Aldonza, ale imię to zmienił na dużo melodyjniejsze – Dulcynea. Prawdę mówiąc, Aldonza nie wiedziała nawet, że jest Dulcyneą i damą serca znakomitego rycerza, jak dawniej chodziła za krowami i w pole, mniemając, że po staremu jest zwyczajną Aldonzą. Ale tym z kolei Don Kichot się nie przejmował i rojąc o damie serca, widział już w duchu, jak zwyciężeni przezeń w bitwach mocarze udają się z hołdem do Dulcynei umiłowanej, by padając na kolana oświadczać na przykład co następuje: „O Pani! Jam jest niegodziwy Karakuliambro, przez nikogo dotąd nie pokonany, pokonany jednak przez Don Kichota, który rozkazał mi do stóp twoich przypaść i służby, jakich tylko zażadasz, pełnić w pokorze”.

Mając już konia, zbroję i damę serca, o giermku nasz rycerz na śmierć zapomniał, chociaż księgi, które czytał, wspominały wyraźnie o pożytku dla błędnych rycerzy z giermków płynącym. Ostatecznie, nie ma co się dziwić, że zapomniał, i bez tego wyruszając m i a ł dość na głowie. Ale jak markotno bywa w drodze samemu, m i a ł się wnet przekonać.

Na razie nie było mu jeszcze markotno, tylko bardzo podniośle, bo nie co dzień się przecież Don Kichotowi zdarzało, a prawdę powiedziawszy, przez blisko pięćdziesiąt lat życia nie zdarzyło się ani razu na rycerską wyprawę przed świtem ruszać, w zbroi, wierzchem na Rosynancie, z Dulcyneą w sercu, z płomiennymi nadziejami w okrytej szyszakiem głowie. Świtem nie lada był więc ten początek wyprawy, i każdy krzew przy drodze rozjarzony promieniami jutrzeńki, każdy ptak ćwierkający w gnieździe, każdy obłok na coraz jaśniejszym niebie temu świętu wtórował. Niewiele brakowało, a zaśpiewałby nawet Don Kichot z przepelniającej go podniosłości, skoro zaś nie zaśpiewał, to dlatego tylko, że, niestety, słuchu n i e m i a ł ni głosu.

No, a skoro o zapomnieniach mowa, to i ja w chwili wyruszania Don Kichota zapomniałem, po pierwsze, zaznaczyć, że Dulcyneą nie nazywała się po prostu Dulcyneą, lecz okazałej: Dulcyneą z Toboso, a to z przyczyny, że imię jej wsi ojczystej brzmiało, jak się rzekło: Toboso. Sądzę, że nie jest jeszcze za późno, by wam o tym powiedzieć – wszak Don Kichot nawet staj nie ujechał od wrót swego domostwa.

Co się jego tyczy, to nie po prostu Don Kichotem, lecz Don Kichotem z La Manczy się nazwał, La Mancza bowiem – to całej części Hiszpanii miano, tej właśnie, gdzie urodził się, mieszkał i m i a ł przeżyć największe swoje przygody.

Nadrobiwszy te przeoczenia, pozwólmy rycerzowi spokojnie posuwać się naprzód, minąć dróg rozstaje, skrócić w jedną z czterech, jakie miał do wyboru, bez namysłu, na końskim kaprysie raczej się opierając, cały dzień potem jechać pod prażącym słońcem, bez wytchnienia, kropli napoju i kruszyny jadła, i wieczorem dojechać wreszcie do zajazdu, gdzie nie czekał na Don Kichota nikt z ludzi, a czekała przecież pierwsza przygoda.

Klnę się wszystkimi rycerskimi księgami, że m i a ł jej sprostać.

Rozdział czwarty, w którym Don Kichot spędza pierwszą noc poza domem rodzinnym, i noc owa, zgodnie z obietnicą karczmarza, nastrocza rzeczywistą sposobność do niezmrużenia oka

Zajazd, do którego dotarł Don Kichot, niepokąźny był i plugawy, w gospodarzu każdy odgadłby łącznie szelmę i starego obwiesia, kompania zaś, która zatrzymała się tu na nocleg, to umorusani mulnicy i towarzyszące im w drodze do Sewilli panny lekkich obyczajów, też nie całkiem domyte.

Don Kichotowi jednak rościło się, że ma przed sobą zamek wspaniały, czterema wieżami niebo podpierający, okolony fosą z mostem zwodzonym, dalej – że stary hultaj kasztelanem zacnym jest czy burgrabią, mulnicy – rycerzami, dziewczki zaś – damami o białych dłoniach.

Traf chciał, że właśnie stado świń pędzono do chlewu i świniopas zadał w róg z tej okazji. Don Kichotowi zdało się, że to karzeł na murach zamczyska jego przybycie tą melodią zwiastuje.

Podjechał do wrót gospody, widokiem swoim najpierw strasząc, następnie śmiesząc zażywające wieczornego powietrza dziewczki, uniósł przyłbicę i przemówił do nich bardzo dwornie, wyjaśniając, że ze strony rycerza nic dostojnym damom nie grozi.

Parsknęły śmiechem, na co pogniewał się trochę, ale zbliżający się gospodarz wnet go udobruchał, bo jako szelma nad szelmami w mig się połapał, na czym szaleństwo rycerza polega, i trochę żeby się nie narażać, trochę dla zabawy, jął z Don Kichotem rozmawiać tak, jakby wyobrażenia tamtego były samą rzeczywistością. Obiecał więc rycerzowi nocne schronienie dla niego i dla rumaka, tyle że – jak zaznaczył – łoża nie mógł mu już zapewnić, wszystkie bowiem były zajęte, następnie zapytał, czy jego szlachetność nie chciałby się posilić.

Don Kichot o łoża nie dbał, zgodnie ze starą balladą, mówiącą, że pościelą wojownika skały są twarde, snem zaś wieczyste czuwanie, wieczorzą wszakże nie wzgardził, i z bolesnym wysiłkiem zaczął zsuwać się z konia.

– Co do czuwania, czyli niespania – powiedział stary obwieś – to nie ma obaw, sposobność do tego nastroczy się tu każdej nocy, nie tylko tej jednej – co mówiąc, uprzejmie przytrzymał strzemień Don Kichotowi – a wieczorzą tu na podwórku podaną zostanie, jeśli waszmość pozwoli.

Don Kichot pozwolił, i gospodarz, zaprowadziwszy Rosynanta do stajni, poszedł wydać rozporządzenia w sprawie posiłku. Zaraz na chłodzie przed drzwiami zajazdu ustawiono stół bez obrusa, na stole zaś pojawił się dzban cienkiego wina, kromka chleba czarnego i spleśniałego oraz porcja ryby przesolonej i półsurowej, znanej u nas pod nazwą dorsza.

Tymczasem obie panny lekkich obyczajów z ciężkiej zbroi rozbierały rycerza, bo sam nie dałby sobie rady. Ale one też, prawdę mówiąc, nie całkiem dały sobie radę: zdjęły mu, owszem, napierśnik i naplecznik, domyślicie się, nieprawdaż, z tych nazw, co to za części zbroi, w żaden sposób jednak nie mogły zdjąć hełmu z przyłbicą, był on bowiem podwiązany pod grdyką mnóstwem wstęg zielonych z tyłoma supłami, że rozwikłać ich nijak się nie dawało, najprościej byłoby przeciąć, ale na to znów się Don Kichot nie zgadzał. W końcu został w tym żelastwie głowę i twarz skuwającym, przez co nie mógł nic do ust własną ręką włożyć, i znów panny mu pomogły: on przyłbicę unosił i przytrzymywał, one zaś paluszkami cienkimi w tak powstałą szczelinę kęsy chleba i ryby wtykały. Wino na odmianę gospodarz mu przez trzcinę wydrążoną do gardła wlewał, ale więcej się za kołnierz przy tym wylało, niż trafiło, gdzie trzeba.

Mimo wszystko był zadowolony z posiłku. W tym czasie znowu zabrzmiał opodal róg świniopasa, utwierdzając naszego rycerza w mniemaniu, że jest gościem zamczyska, gdzie na jego cześć koncert się odbywa przy uczcie, sama zaś uczta jest wyborna, z pstrągów i kołaczy białych złożona, przednim winem podlana, przez wykwintne damy uświetniona i przez najzacieńszego z burgrabiów dysponowana.

Trochę tylko hełm go uwierał i niemiłe poczucie dokuczało, nie od tej chwili zresztą, lecz od samego rana, gdy wyruszył był w drogę, w głąb pamięci spychane, ciągle jednak na wierzch wypływające, a w tej chwili, gdy, jak sądził, tak wspaniale na zamku rycerskim był przyjmowany, osobliwie przykre: że nie przysługują mu do owych splendorów prawa, bo, choć w duszy niechybnie jest już rycerzem, nigdy nie był oficjalnie pasowany i do stanu rycerskiego przyjęty.

Ani przez myśl nie przeszło biednemu Don Kichotowi, że pasowany czy nie, prawdziwszym jest rycerzem niż wszystkie zamki, jakie może napotkać – zamkami, kasztelanami – kasztelanami, damy – damami...

Ledwie przeto spożył, czym go uraczono, padł na kolana przed starym szelmą karczmarzem i wyznając mu swą zgryzołę, błagać zaczął, by pasował go na rycerza. Tamten w pierwszej chwili nie pojmował, o co chodzi, i wytrzeszczał w zdumieniu ślepią, próbował przy tym podnieść klęczącego, Don Kichot jednak opierał się i mówił, że nie wstanie, póki imć kasztelan nie obieca, że następnego ranka prośbę jego spełni. On sam – dodawał – noc całą spędzi na zbrojnym czuwaniu i medytacjach w kaplicy, kształcąc ducha do czekającej go uroczystej chwili, gdy zaś stanie się to, o co błaga, ruszy dalej w świat, by zgodnie z powołaniem, potwierdzonym i uświęconym przez pasowanie, walczyć z krzywdą, tępować bezprawie i ku chwale nadobnej pani Dulcynei z Toboso pokonywać okrutnych wrogów, ludzkości.

Karczmarzowi rozjaśniło się wreszcie we łbie i pojał, czego żąda mający go uparcie za rycerza i kasztelana zamku Don Kichot. Postanowiwszy ciągnąć zabawę, szczywany lis skłonił się z największą gracją, na jaką stać go było, i oznajmił, że z rozkoszą uczyni zadość męskiej chęci przybysza. Don Kichot odetchnął z ulgą i nie bez trudu podniósł się z klęczek, podczas kiedy karczmarz z coraz większym zapalem obiecywał, że rankiem odprawi należne ceremonie i pasuje go na rycerza, którym jest już, oczywiście, i w tej chwili, gdy rozmawiają ze sobą, niechaj wszakże rytuał pozostanie rytuałem, żeby nikt nigdy nie mógł Don Kichotowi zarzucić, jakoby czegokolwiek zaniedbał. Kaplicy wprowadzić do medytacji bezsennych zdanej nie ma teraz na zamku, starą bowiem zburzono, by nową na jej miejscu wystawić, czego jeszcze z kolei nie uczyniono, zbrojnie czuwać wszakże można i na dziedzińcu zamkowym.

Don Kichot, zgadzając się we wszystkim z wymownym karczmarzem, poważnie kiwał długą głową, wciąż w żelastwo odziana, i błogo wzdychał na myśl o mającej nastąpić za kilka godzin wielkiej chwili pasowania.

– I ja w obronie wdów i sierot walczyłem jak tygrys – coraz bardziej zapędzał się stary hultaj – aż po wielu wspaniałych czynach osiadłem tu na swym zamku, by gościnność okazywać wszystkim błędnym rycerzom, z samej do nich sympatii, oni zaś z samej do mnie sympatii, wdzięcznością wspartej, dzielą się ze mną wszystkim, co posiadają. Wy, panie – zainteresował się w tym miejscu – dużo macie pieniędzy?

Don Kichot odparł, że ani grosika, nigdy bowiem nie było mowy w żadnej z ksiąg rycerskich, by rycerzom potrzebne były pieniądze.

– Księgi nie wspominają o tym, co się samo przez się rozumie – wyjaśnił krzywiąc się, jakby go zęby bolały, karczmarz. – Zapewniam jednak, że prawdziwy rycerz to ten, co ma pełną kiesę i bieliznę na zmianę w sakwach przytroczonych do łęku, i apteczkę polową, i różne inne przydatne rzeczy, że pominę już wożącego to wszystko giermka.

Don Kichot przyrzekł, że udając się w następną wyprawę uwzględni te informacje, za które prawdziwie wdzięczny jest mości kasztelanowi. Tamtemu jednak nie rozjaśniła się mina i mrukliwość nagła go ogarnęła, aż pomyślał Don Kichot, że może niechcący dotknął czymś burgrabiego, lecz choć szczerze żałował takiego obrotu rzeczy, nie miał czasu na zastanawianie się, które słówko zawierało mimowolną niedelikatność, trzeba bowiem było żwawo przystąpić do zbrojnego czuwania i medytacji.

Pośrodku rozległego dziedzińca, który mu wskazał gospodarz, widniała studnia, a przy niej drewniane koryta. Na tym korycie złożył Don Kichot napierśnik swój i naplecznik, po czym z kopią w jednej dłoni i tarczą w drugiej przechadzać się jął miarowym krokiem dokoła. Noc już zapadła, ale księżyc wzeszedł bardzo duży i jasny, wyraźnie więc widać było krążącego wokół koryta rycerza; przypatrywali mu się też jak dziwowisku i mulnicy umorusani, i towarzyszące im w drodze do Sewilli panienki, i zły czegoś gospodarz zajazdu.

Naraz jeden z mulników przypomniał sobie, że nie napił swoich mułów przed nocą. Chcąc to naprawić, skierował się do koryta i sięgnął po leżącą na nim zbroję Don Kichota. Ten na widok zuchwalca przerwał przechadzanie się i medytację i rzekł podniesionym głosem:

– Kimkolwiek jesteś, kawalerze, nie wąż się dotykać mej zbroi! Życiem zapłaci, kto nie usłucha wezwania!

Mulnik nie zwracając uwagi na pogróżkę złapał za zbroję i odrzucił ją o kilka kroków od koryta. A przecież Don Kichot wcale nie żartował, kiedy go ostrzegał! Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak spełnić groźbę. Wyobrażając sobie, że pani jego serca, Dulcynea z Toboso, przypatruje się z oddali zachowaniu swego znieważonego wasala, bez namysłu odrzucił tarczę i oburącz ujmując kopię wymierzył nią zuchwalcowi cios w głowę. Mulnik runął jak długi, a Don Kichot z powrotem złożył zbroję na korycie i spokojnie podjął swoją przechadzkę, tudzież medytację.

Nie był to jednak koniec jego walk tej nocy w obronie honoru. Niebawem inny mulnik, którego nie było przy opisanym wydarzeniu, skierował się do koryta, by napić swoje zwierzęta. Jak poprzedni, sięgnął po zawadzającą w tej sytuacji zbroję, a Don Kichot, rezygnując tym razem z ostrzeżeń, jak poprzednikowi rozłupał mu kopią głowę.

Uczył się wielki rejwach: pozostali mulnicy, rozwścieczeni, zaczęli obsypywać rycerza kamieniami, on zaś, nie opuszczając stanowiska przy zbroi, kręcił się tylko w jednym miejscu, to przód, to tył, to boki zasłaniając tarczą. A choć drugiego mulnika zranił był w milczeniu, teraz krzyczał wielkim głosem przeciwko zdradzie, która rozpanoszyła się w zamku i nie wzbrania bezecnej zgrai napastować z ukrycia błędnego rycerza. Równie głośno darł się karczmarz, apelując do mulników, by dali spokój, bo walczą z obłąkanym, takiego

zaś, choćby wszystkich pozabijał, każdy sąd uniewinni. Najgłośniej piszczały niecnotliwe panienki, ale nie wiadomo, czy za Don Kichotem, czy przeciw niemu.

Nie wiadomo również, czy mulników wystraszyły niezwykle obelgi miotane przez rycerza, czy raczej przestrogi karczmarza, dość że z widocznym lękiem zaczęli się wycofywać i nawet z dalszej odległości zaniechali miotania kamieni na Don Kichota. Ten szlachetnie zezwolił na wyniesienie obu rannych i podjął, jak przedtem, zbrojne czuwanie oraz medytacje. Karczmarz wszakże miał już najwidoczniej dość tych igraszek, coraz bardziej krwawych i niebezpiecznych.

– Już czas, panie – powiedział, z całą ostrożnością, by nie dostać znienacka w łeb, podchodząc do Don Kichota – odbyć ceremoniał, którym wam przyrzekł. Naczuwaliście się i namedytowali do woli, choć trochę wam w tym przeszkodzili nieobyci przejezdni, ale nie tak znów bardzo. Więc jak, panie, chcecie być pasowani?

– Niczego bardziej nie pragnę – odrzekł Don Kichot – skoro bowiem to nastąpi, będę mógł naprawdę policzyć się z ukrytymi w murach tego zamku wiarołomcami. Oszczędzę, naturalnie, was, a także niewiasty i tych mężów, których mi polecicie.

Karczmarz, nie wdając się w dyskusję, przyniósł ogarek świecy i księgę buchalteryjną, w której zwykł zapisywać obrok, na kredyt wydawany mulnikom. Wezwawszy do asysty znane nam już panienki, rozkazał Don Kichotowi uklęknąć, co ten bez sprzeciwu uczynił. Stary obwieś, zaglądając do księgi, wymamrotał coś niezrozumiałego, po czym niespodziewanie walnął Don Kichota pięścią w kark i dalej mamrotał. Don Kichot wzdygnął się od ciosu, ale przyjął go równie posłusznie, jak posłusznie przed chwilą ukląkł. Wtedy karczmarz wziął miecz Don Kichota i płazą uderzył go w ramię, co było nie mniej bolesne od poprzedniego uderzenia pięścią, ale rycerz znowu przyjął pokornie, co go spotykało, jako należące do rytuału. Karczmarz wręczył miecz jednej z panienek, aby przypasała go rycerzowi, co też uczyniła, powstrzymując śmiech, a Don Kichot poważny ani się domyślił, ile ją to kosztuje. Karczmarz, zaglądając do księgi, cały czas mamrotał, tak szybko i niewyraźnie, że tylko ktoś o wybitnym słuchu i niezwykle skupionej uwadze odróżniłby słowa: „ćwierć i jeszcze pół ćwierci i ćwierci ćwierć i ponadto ćwierć”.

Tak dokonała się owa ceremonia pasowania Don Kichota na rycerza, a ledwie się dokonała, poczuł nasz bohater, jak wstępują weń nowe siły, pośpiesznie więc wdział na siebie brakujące części zbroi, okulbaczył Rosynanta, uściskał gospodarza, mówiąc: „nigdy nie zapomnę waszmości tej rycerskiej przysługi”, skłonił się dwornie pannom lekkich obyczajów i wsadził nogę w strzemie, dodając: „niech Opatrzność sprzyja temu gościnnemu zamczysku”.

Karczmarz, syty już i zabaw, i obaw, wybawienia tylko pragnął od Donkichotowej fantazji, odpowiedział przeto równie uprzejmie i skłonił się równie dwornie, i z pośpiechem równym temu, z jakim Don Kichot zebrał się do drogi, rozwarł mu wrota zajazdu. Długo jeszcze spoglądał w ślad za odjeżdżającym, niespokojny, czy aby tamtemu nie przyjdzie do głowy zawrócić. Nie zażądał nawet zapłaty za wieczerzę, nocleg i pasowanie, szczęśliwy, że pozbył się wreszcie dziwnego gościa. Ani pomyślał też, ani pożałował, że ginąc z oczu Don Kichotowi, sam przemienia się z powrotem z zacnego kasztelana w starego obwiesia, jakim jest naprawdę, zamczysko, w którym gościł był rycerza – w karczmę plugawą, kompania zaś, która zatrzymała się tu na nocleg – w umorusanych mulników i towarzyszące im w drodze do Sewilli panny lekkich obyczajów, też nie całkiem domyte.

Rozdział piąty, w którym Don Kichot po raz pierwszy staje w obronie krzywdzonego i co z tego wynika

Jechał nasz rycerz drogą, aż zajechał do lasu średnio gęstego, a w tym lesie najpierw dźwięki jakieś dobiegły go niezbyt zrozumiałe, następnie zaś obraz przedstawił się jego oczom, niestety czy na szczęście dający się zrozumieć bez trudu.

Był to obraz krzywdziciela i krzywdzonego.

Krzywdzonym był drobny chłopiec, półnagi i przywiązany do drzewa, krzywdzicielem – rosłe chłopisko z batem w ręku. Tym to batem drab okładał jęczącego chłopca, dogadując przy tym:

– A masz, nicponiu! I jeszcze raz masz, żebyś wiedział! Teraz masz, żebyś zapamiętał! A masz, a masz!

– Oj, wybaczcie, mój panie gospodarzu! – szlochał chłopiec. – Już wiem, już mam, już pamiętam, już nigdy nie będę!

– Dość tego! – zawołał zatrzymując się oburzony Don Kichot. – Nie godzi się znęcać nad bezbronnym! Dosiądź konia i ze mną się zmierz, ty tchórzu!

Chłop zaprzestał swej okrutnej czynności i wyjaśnił z całą pokorą:

– Panie rycerzu, ten ladaco to mój pastuch niedbały, któremu co dzień ginie jedna owieczka. Kiedy zaś go karzę, łże, nicpoń, że czynię to, by nie płacić mu należności.

– W mojej przytomności zadajesz kłam niewinnemu? – jeszcze bardziej oburzył się Don Kichot. – Odwiąż go natychmiast i zapłać, coś winien; jeżeli nie, przebiję cię kopią na wylot.

– Odwiązuję, już odwiązuję. Ależ waszmość prędko – poskarżył się wieśniak i skwapliwie jął targać sznury.

– Ile ci jest winien, mów, chłopcze, śmiało – zwrócił się Don Kichot do krzywdzonego.

– Za dziewięć miesięcy, panie rycerzu, po siedem reali każdy – odparł, nie ociągając się, chłopak.

– To wynosi sześćdziesiąt trzy reale. Nuże, człowiecze, potrząśnij kiesą, jeśli ci życie miłe!

– A trzy pary chodaków, któremu sprawił? – zaprotestował chłop. – A puszczenie krwi, kiedy chorzał?

– To już skwitowane chłostą – wyjaśnił Don Kichot. – Jeśli on zdarł chodaki, ty zdarłeś mu skórę z grzbietu, a jeśli cyrulik puszczał mu krew, gdy był chory, ty puściłeś, gdy był zdrow. Kwita.

– Bieda tylko – westchnął chłop, nie targując się już o sumę – że nie mam przy sobie tej kiesy do potrząsania. Niechby poszedł ze mną do domu, a wypłacę mu wszystko co do grosika.

– Nie pójdę! – wrzasnął chłopiec. – Oblupi mnie w domu ze skóry!

– Wszak nie zrobi tego – powiedział Don Kichot – skoro przysięgnie na prawo rycerskie, że usłucha mego rozkazu.

– Przysięgam – uderzył się w piersi chłop – na wszystkie prawa rycerskie, jakie są i jakich nie ma na świecie, że wypłacę mu wedle zasług.

– No widzisz – ucieszył się Don Kichot. – Ale bacz, człowiecze – zwrócił się surowo do krzywdziciela – że jeśli nie spełnisz, coś poprzysiągł, wrócę, aby odszukać cię i ukarać. Wiesz, kto ci rozkazuje?

– Wiem, że wielki rycerz.

– Usłysz więc moje imię. Jam Don Kichot z La Manczy, mściciel wszelkich krzywd i bezprawia. A teraz obydwaj zostańcie z Bogiem!

Co rzekłszy, Don Kichot spiął konia i zawrócił ku drodze. Serce przepęłniała mu słodka duma i radość, że obronił krzywdzonego przed krzywdzicielem. Usłyszał jeszcze, oddalając się, okrzyk chłopca: – Dzięki za wstawiennictwo, szlachetny panie rycerzu!

Ale nie usłyszał już, jak chłop, kiedy tupot kopyt Rosynanta ucichł za lasem, odezwał się łagodnie:

– Zbliż się, najmilszy, zapłacę ci, com winien, jak obiecałem temu panu.

– Jeśli mnie zwiedziecie – przypomniał chłopiec – on powróci i zada wam bobu.

– Nie zwiódę cię, nie – przyrzekł chłop, podchodząc do chłopca i unosząc bat. – Masz za pierwszy miesiąc! – wrzasnął nagle, spuszczając bat na nagie plecy nieszczęśnika. – Masz za drugi! Masz za trzeci miesiąc służby leniwej!

– Oj, wystarczy, mój panie gospodarzu! – błagał, jęcząc pastuszek. – Za resztę już mi nie płąćcie!

– Nie może być, żebym ci został dłużny – upierał się chłop, okładając chłopca. – Dostaniesz wedle zasług. Za siódmy miesiąc! Za ósmy! Za dziewiąty! A to – za nieproszonego obrońcę! Wołajże teraz mściciela krzywd, niech odbierze, czego ci nie dodałem...

– Oj, panie rycerzu – jęczał chłopiec – gdziekolwiek jesteście, o jedno was błagam: choćbyście widzieli, że ćwiartują mnie na kawałki, to nie brońcie, lecz pozostawcie mojej niedoli, bo nie może być gorsza od tej, jaką wstawiennictwo wasze przynosi... I bodajbym już żadnego błędnego rycerza w życiu nie spotkał...

Biedny chłopiec – ale i biedny Don Kichot! Mimo wszystko lepiej, że nie słyszał tych gorzkich wyrzutów... Może by się zawahał przed spełnieniem powinności rycerskiej? To prawda, że wstawiennictwo za krzywdzonymi czasem powiększa tylko ich niedolę – czyżby jednak pomniejszała ją obojętność przechodzących obok i przymykanie na mijaną krzywdę oczu i uszu?... Gdyby Don Kichot w to uwierzył – i my wszyscy gdybyśmy uwierzyli za nim – resztką niezbędnej do życia nadziei zniknęłaby ze świata, w którym tyle jest jeszcze przemocy, niesprawiedliwości i okrucieństwa.

Rozdział szósty, w którym Rosynant ma wpływ na drogi i upadki Don Kichota, a krewni i przyjaciele chcą mieć wpływ jeszcze większy

Jechał dalej Don Kichot i duma go rozpierała, że zaledwie pasowany na rycerza, już zmierzył się z krzywdą, krzywdzonego obronił, krzywdziciela od krzywdzenia skutecznie odwiódł. Rozpamiętując najświeższą swoją przygodę, wznosił w duchu oczy do pięknej Dulcynei z Toboso i przemawiał do niej: „O, pani mego serca! To twoja niewidzialna opieka aureolą opromienia me kroki, mocy dodaje memu ramieniu i słowu! Wierzaj, szczęśna, że czyny Don Kichota nie przyniosą ci ujmy! Jak nocą rozpędziłem w zamczysku podłą hałastkę, teraz zaś łotra, znęcającego się nad chłopięciem, zmusiłem do zaprzestania okrucieństw, tak nadal będę wiernie używał rycerskiego oręża dla powiększenia twej chwały i pogiębienia zła, gdziekolwiek je spotkam!”

Tak przemawiając w duchu do Dulcynei, kawałek drogi ujechał – i oto dostrzegł jadący z przeciwka orszak. Byli to kupcy z miasta Toledo, z pachotkami swymi i mulnikami udający się do Murcji po jedwab. Aliści Don Kichot nie ujrzał w nich tych, kim naprawdę byli, lecz hufiec rycerski, przeznaczony widać przez Opatrzność do zademonstrowania na nim przez wielbiciela Dulcynei potęgi jego miłości. Jeźdźcy nie uczynili wprawdzie nic złego, a przynajmniej nie było jawnych dowodów, żeby uczynili, to jednak palącemu się do walki rycerzowi nie przeszkadzało.

Zastąpiwszy im drogę z nastawioną kopią zawołał:

– Ani kroku dalej! Musicie przyznać, waleczni rycerze, iż nie masz na całym świecie piękniejszej damy nad tę, której służę, niezrównaną Dulcyneę z Toboso.

Kupcy się zatrzymali i nawet w pierwszej chwili bodaj że lęk ich obleciał, przyjrawszy się jednak temu, który ich zaczepił, wyzbyli się chyba trwogi i raczej dla żartu, niż dla rzeczywistej potrzeby, wdali się w dyskusję.

– Panie rycerzu – powiedział pierwszy kupiec – chętnie to przyznamy, ale pokażcie nam wprzód piękną panią, o której mówicie, bośmy nigdy jej nie widzieli.

– To nie sztuka – sprzeciwił się Don Kichot – przyznać oczywistość na własne oczy stwierdzoną. Rzecz w tym, byście nie widząc przecudnej Dulcynei z Toboso, lecz dlatego, że ja tak mówię, potwierdzili natychmiast, iż nie ma nad nią piękniejszej, i przysięgli zawsze

bronić tego twierdzenia. Jeśli zaś odmawiacie, wyzywam was po kolei do walki, jak prawo rycerskie każe. Pokonani przeze mnie, nie będziecie mogli dłużej się wzdragać przed prawdą.

– A może – zaproponował kupiec – pokażecie nam chociaż konterfekt owej damy, niechby był maciupieńki jak ziarnko, byleśmy mieli na czym się oprzeć w sądzie, którego od nas żądacie. Zresztą – dorzucił pojednawczo – dla przypodobania się wam, panie rycerzu, z pewnością ją pochwalimy, choćby jednym okiem krzywym, drugim kaprawym łypnęła na nas osoba z portretu.

– Ośmieliłeś się coś takiego powiedzieć o najśłodszych oczach niezwyklej Dulcynei z Toboso? – zapalał gniewem Don Kichot. – Giń, bluźnierco! I wy wszyscy, ilu was jest, zapłacicie mi za tę straszną zniewagę!

Co rzekłszy, natarł z furią na kupca, i zaprawdę, przebiłby go kopią na wylot, dowodząc w ten sposób niezbitcie, iż nie ma na świecie damy piękniejszej nad Dulcyneę z Toboso, gdyby Rosynant nie potknął się na samym środku drogi, wywracając się sam i zrzucając na twardą ziemię jeźdźca. Don Kichot usiłował się wygramolić z upadku, ale w ciężkiej zbroi, z ostrogami, szyszakiem, kopią i tarczą, nie było to wcale łatwe. Szamotał się bezsilnie, jak przewrócony żółw w pancerzu, wołając:

– Nie triumfujcie, tchórze! Nie wyście mnie obalili, lecz koń mój! Czekajcie, aż wstanę i dam wam nauczkę!

Kupcy chcieli jechać dalej, nie zważając na krzyki wysadzonego z siodła rycerza, ale jednemu z mulników mało tego było (tak już się składało, że poganiacze mułów z zasady nie darzyli Don Kichota sympatią). Ów niegodziwiec zbliżył się do leżącego, połamał mu kopię, a następnie jej szczątkami zaczął nieszczęśnika tak okładać, tak dokładać mu i przykładąć, że ten mimo zbroi odczuł okładanie to, dokładanie i przykładanie z całą dokładnością. Nie skarżył się jednak na ból, lecz nadal głośno znieważał wrogich rycerzy, za jakich miał zaczepionych przez siebie kupców. Ci tymczasem, nie krwiożerczy wcale, wzywali mulnika, żeby dał spokój, ale ten usłuchał dopiero wtedy, gdy porządnie się zmęczył. Zostawiwszy Don Kichota na ziemi, cały orszak ruszył wreszcie w swą drogę, on zaś wówczas znów się próbował podnieść, taki jednak był obity i obolały wewnątrz swej zbroi, że do czego nie był zdolny przed zemstą mulnika, tym bardziej nie stał się zdolny teraz. Zaprzątał tedy płonnych wysiłków i leżał spokojnie, z lekka pojękując, bynajmniej jednak nie czując się nieszczęśliwym, nikt go bowiem nie pokonał i zuchwałe męstwo jego w obronie i ku chwale pięknej Dulcynei z Toboso było niezaprzeczalne, jedynie niefortunnemu stąpięciu Rosynanta, który tymczasem wstał, odszedł o parę kroków i skubał trawę na zboczu drogi, zawdzięczał Don Kichot swój upadek.

Kiedy tak leżał, dla rozrywki i osłody przypominając sobie przeczytane historie i po trosze utożsamiając się z ich bohaterami, jak na przykład z walecznym Baldwinem, którego porzucono rannego w górach, ocalony jednak został przez swego stryja, markiza z Mantui, kiedy więc tak leżał czas jakiś, to w gorączce, to znów w omdleniu, znalazł go ów sąsiad, zesłany, o czym była mowa w rozdziale drugim, przez miłosiernego autora. Nie tylko przez niego jednak, lecz i przez taką okoliczność, że wczoraj jechał Don Kichot w jedną stronę, a dzisiaj, po opuszczeniu zajazdu, w drugą, w obu przypadkach na Rosynanta się zdając, którego, jak to konia, najpierw bawiło oddalanie się od stajni, następnie zaś powrót do niej. W rezultacie znajdowali się obecnie bardzo blisko wsi rodzinnej, i dobry kmiotek z sąsiedztwa, który Don Kichota znalazł, a którego ten nie poznał, biorąc za markiza z Mantui, dobry ten kmiotek nie miał szczególnego kłopotu z odtransportowaniem rycerza do domu. Rozebrawszy ze szczątków zbroi, podniósł go z ziemi i wsadził na swojego chłopskiego kłapoucha, po czym poprowadził za uzdę kłapoucha i Rosynanta, aż doprowadził do wrót Donkichotowego domostwa, tam zсадził ostrożnie i wprowadził we wrota...

Pewnie pamiętacie jeszcze okrzyki przejętej gospodyni i pieczołowitość, z którą prowadziła swego pana po schodach do sypialni, obiecując, że bez wróżki Furkandy uleczony

tutaj zostanie, byle słuchał życzliwych sobie i kochających ludzi. Siostrzenica już mu tymczasem pościel przygotowała, ksiądz proboszcz i balwierz wioskowy, obecni akurat na miejscu wielcy przyjaciele Don Kichota, poruszyli z dwóch stron poduszki, żeby lepiej mu się leżało... Nie ulega wątpliwości, że wszyscy ci ludzie naprawdę kochali Don Kichota i byli mu życzliwi, sęk w tym jedynie, że współczując jego ciału, wspólnie czuć nie potrafili z jego umysłem ani wspólnie czuwać z jego sumieniem. Tak obce i niepojęte im były jego fantazje, iż za dobroczynną swoją względem niego powinność uważali wypędzenie z głowy Don Kichota rycerskich wyobrażeń i tęsknot, by uczynić go *n o r m a l n y m*, takim jak oni sami, zjadaczem chleba. W ten sposób, sprzyjający jemu, nie sprzyjali najgłębszej i najprawdziwszej jego istocie, temu, co Don Kichota Don Kichotem czyniło, ale skoro tak – czy sprzyjali faktycznie Don Kichotowi?

W następnym rozdziale dowiemy się niechybnie, co uczynili bliscy, aby Don Kichota od Don Kichota wyzwolić, Don Kichota z Don Kichota uleczyć, Don Kichota w Don Kichocie zniszczyć i zabić.

Rozdział siódmy, w którym pod oknem Don Kichota płonie stos Inkwizycji, ale rycerz, zmorzony pierwszą wyprawą, śpi

Kiedy Don Kichot, opatrzony, umyty i nakarmiony rosołem z pasztecikiem, zasnął mocnym snem w swoim łóżu, jego błada siostrzenica wyrzekła cichym głosem, spuszczaając oczy:

– Wielebny księżu proboszczu i wy, mości balwierz, winną się czuję, że nie doniosłam wam w porę o szaleństwie mego wujaszka. Może bylibyście spalili te heretyckie książki i zaradzili nieszczęściu, zanim doszło do tego, co tu widzicie.

– Na całopalenie nigdy nie jest za późno – uspokoił ją proboszcz. – Bądź panna spokojna, dzień nie minie, a na stos pošlemy kacerzy!

Musicie wiedzieć, że w owych czasach zdarzało się w Hiszpanii palić na stosie nie tylko książki, ale żywych ludzi, skazanych na to przez Świętą Inkwizycję, czyli bractwo duchowne, tropiące świętokradztwo, odstępstwo od wiary, obcowanie z diabłem i inne grzechy. Niestety, łatwiej było o coś takiego człowieka oskarżyć, niż oskarżonemu dowieść swej niewinności. Tak i teraz, gdy błada siostrzenica Don Kichota oskarżała o herezję, czyli obrazę prawd religijnych zgromadzone w bibliotece wujaszka opowieści rycerskie, cóż mogły biedne powiedzieć na swą obronę? Trwożnie i błagalnie szeleszcząc kartkami, musiały poddać się wyrokowi, który zapadł bez uczciwego zbadania rzeczy.

Rumiana gospodyni chyżo rozpałała na dworze wielkie ognisko, powiada zaś autor, cytując powiedzonko hiszpańskie, iż zajmowała się tym z gorliwością takiej pracownicy, która większą ma ochotę palić niż tkać płótno, choćby nie wiem jak szerokie i cienkie. Znajdowało się to ognisko akurat na wprost okien komnaty bibliotecznej, do której wprowadzono inkwizytorów – proboszcza i balwierza.

– Podawajcie mi tedy księgi – rzekł, rozglądając się proboszcz – jedną po drugiej. Zobaczmy, która na stos zasługuje.

– Wszystkie! – zawołała siostrzenica. – Wszystkie co do jednej, to pewne!

Proboszcz i balwierz zbyt byli jednak ciekawi, żeby zgodzili się palić książki bez oglądania. Balwierz jął sięgać kolejno po oprawne foliały i podawać je księdzu po głośnym odczytaniu każdego tytułu; wtedy dopiero ksiądz ogłaszał wyrok i wykonywał go, nie zwlekając.

– „Wielkie czyny Esplandiana” – obwieścił balwierz.

– Giń, wszeteczniczo! – wykrzyknął proboszcz, przez otwarte okno ciskając księgę na stos. Sypnęły iskry, „Wielkie czyny Esplandiana” zajęły się odpowiednio też wielkim płomieniem.

– „Florismarte z Hirkanii”.

– Nie zasługuje na łaskę!

I „Florismarte” powędrował za „Esplandianem”.

– „Rycerz Platir”.

– Za innymi niech idzie żwawo!

– Tak, dobrodzieju, tak – dogadywała zadowolona gospodyni – toć mówiłam, że wszystkim się stos należy.

– „Palmerin z Oliwy”.

– I ta oliwa bynajmniej nie sprawiedliwa – niech spłonie, by ani kropli z niej nie zostało.

Tak oto, kiedy Don Kichot, przygodami zmorzony, spał w swym łóżu pod baldachimem, proboszcz z balwierzem, w asyście gospodyni rumianej i siostrzenicy bladej, nad księgozbiorem jego w wielkim pośpiechu inkwizycję sprawowali najsroższą. Może i niedobre to książki, może i banialuki opowiadały, z naiwności autorów lub – odwrotnie – licząc na czytelników naiwność, może nawet styl ich mocno szwankował, ale wyznam wam, że kiedy opisuję tę scenę, opisując zaś widzę, jak karty ksiąg w płomieniu się skręcają z sykiem żalonym, raptem serce mi się ściska, jakbym obecny był przy paleniu ludzi na stosie, i chciałbym rękę inkwizytora zatrzymać...

– „Historia słynnego rycerza Tyranta Białego” – ogłosił balwierz.

Proboszcz drgnął.

– Co, macie tam „Tyranta Białego”? – przepytał się podniecony. – Toć to powieść, gdzie za młodu znajdowałem był kopalnię rozkoszy, daję wam słowo! Pamiętam jak dziś, jest tam Don Kyrieleyson z Montalbanu, rycerz jakich mało, i brat jego, Tomasz z Montalbanu, walka słynnego Tyranta z brytanem i cesarzowa zakochana w gierмку swym, Hipolicie. Styl jest przedni, daję słowo, kumie, weźcie tę książkę do domu i przeczytajcie, a sami się przekonacie!

– Przeto ułaskawimy tę księgę – zgodził się balwierz.

No, więc jednak! Odetchnąłem na chwilę i wy chyba ze mną. Ale odłożywszy na bok „Historię słynnego rycerza Tyranta Białego”, inkwizytorzy sięgnęli po następne dzieła i te rzadko już znajdowały w ich oczach łaskę, traf bowiem chciał, że rzadko którą czytali za młodu, by móc teraz z rozrzewnieniem wspominać. Z górą sto książek, prozą i wierszem pisanych, poszło na stos, parę zaś zaledwie uniosło głowę z tej rzezi i uniesione zostało na plebanię lub do domu balwierza, by służyć wyjątkowym literackim uniesieniom niszczycieli książek.

Nie skończyło się na tym złowrogim ogniu: sama komnata biblioteczna, choć już pusta, zdawała im się miejscem zbyt straszliwych pokus dla Don Kichota, rankiem tedy, podczas gdy rycerz spał ciągle, sprowadzili robotników, a ci pod nadzorem gospodyni rumianej i siostrzenicy bladej żwawo zamurowali i zatynkowali niebezpieczną izbę, tak iż z żadnej strony nie było już do niej wejścia. Kiedy Don Kichot po dwóch dniach, zdrowszy, podniósł się z łóża, chciał się udać, swoim zwyczajem, do biblioteki – ale nic z tego! Trafił na gładką ścianę, którą obmacywał, naciskał, odchodził od niej i wracał, znów próbował, lecz ta trwała nieporuszona. Wreszcie, do cna zmieszany, wątpiąc w świadectwo swych zmysłów, poprosił domownicę, by wskazały mu drogę do komnaty z książkami.

– Komnata z książkami? – parsknęła gospodyni. Nie ma w tym domu żadnej komnaty z książkami!

– A gdzież się podziała?

– Czart ją porwał!

– Nie czart – sprostowała siostrzenica – lecz czarodziej. Owej nocy pod nieobecność wuja spuścił się z chmury i porwał komnatę razem z książkami. Powiedział tylko, że tak mści się z wrogości do właściciela książek.

– Przejaśnia mi się w głowie – powiedział Don Kichot. – Czy zły czarodziej oznajmił, jak się nazywa?

– Jakieś takie dziwne imię – marszczyła czoło gospodyni. – Kończyło się chyba na „on”.

– Freston! – wykrzyknął Don Kichot. – Mój straszliwy wróg czarodziej Freston sprawił, że biblioteka ma jakby rozwiła się w powietrzu! A to wszystko dlatego, że ja, błędny rycerz, sprzeciwiam się nieprawościom jego i zbrodniom. Ale nic z tego! Żeby nie wiem jak szkodził mi podły Freston, ostateczne zwycięstwo mnie musi przypaść.

– No tak – zgodziła się siostrzenica – ale czyż nie lepiej dać sobie spokój, nie wchodzić w paradę złym czarownikom, nie narażać się na ich zemstę? Albo źle wujowi tu w domu?

Don Kichot nic nie odpowiedział. W myślach był już daleko od swego domostwa z zamurowaną komnatą, od tych niemądrych kobiet, od czarnego śladu pogorzeliska na podwórzu, które może by przyjął, gdyby zauważył, za ślad czarownika Frestona, od krzywdy, którą wyrządzili mu najbliżsi, a o której wcale nie miał pojęcia... Wbrew wszystkim i wszystkiemu, był przecież nadal – Don Kichotem.

Rozdział ósmy, w którym Don Kichot już nie samopas, lecz z giermkim, wyrusza na swą drugą wyprawę

Kiedy Don Kichot prawdziwie wydobrzeł po przygodzie, wieńczącej pierwszą jego wyprawę – nastąpiło to zaś jakieś dwa tygodnie po owym tyleż bolesnym co w kurzu tyłłającym wieńczeniu – zaczął się potajemnie szykować do wyprawy drugiej. Potajemnie – bo doskonale uświadamiał sobie, że obydwaj jego wielcy przyjaciele, sprzymierzeni z obydwoma wiernymi domownikami, jeśli dowiedzą się o nie porzuconych przez Don Kichota zamiarach, na głowie staną, aby im przeciwdziałać. Zachowując więc pozory uspokojenia i pojednania z sytuacją, i tylko teoretycznie broniąc błędnego rycerstwa w dysputach z proboszczem oraz balwierzem, cichcem gromadził fundusze, sprzedając lub zastawiając, co się dało z posiadanych przedmiotów, przeważnie zresztą za marną cenę, ale co tu gadać o marnej cenie, kiedy największy majątek Don Kichota – księgozbiór – poszedł, jak wiemy, z dymem bez żadnej rekompensaty! Tak czy siak, w końcu zebrał Don Kichot sumkę godną chyba tego, co o błędnych rycerzach klarował pasujący go na tę dolę karczmarz. Zbroję przysposobił sobie na nowo z tego, co ocalało jeszcze na strychu, naprawił połamany hełm, kopię z tarczą pożyczył u znajomego **hidalga** z okolicy, zaopatrzył się też w koszulę, szarpie i inne potrzebne w drodze przedmioty, wszystko zgodnie z radami karczmarza. Rosynant czekał w stajni, piękną Dulcyneę z Toboso miał Don Kichot, jak zawsze, w sercu, brakowało mu więc jeszcze tylko – no, właśnie, giermka.

Upatrzył sobie na giermka pewnego klepiącego biedę wieśniaka z sąsiedztwa, imieniem Sanczo Pansa. Jak wyglądał Sanczo Pansa, to już wiemy, a jaki był w środku, nie warto z góry mówić, bo niebawem się przekonamy. Nie od razu, oczywiście, zdecydował się Sanczo Pansa na taką awanturę, jak wyruszenie ni stąd ni zowąd w świat, w charakterze giermka błędnego rycerza; dotychczas nie opuszczał nigdy opłotków ojczyściej wsi i nikomu nie giermkował, o błędnym zaś rycerstwie miał bardzo niewyraźne pojęcie. Wyraźne jednak pojęcie miał o piszczącej biedzie, w jakiej żył wraz z żoną i gromadką dzieci, toteż gdy Don Kichot, namawiając go, wysunął taki argument, że zdobędą, być może, jakąś wyspę bogatą, i wówczas Sanczo właśnie zostanie jej wielkorządcą, Don Kichot zaś wyruszy dalej rycerskim szlakiem, usłyszawszy zatem o wyspie, Sanczo zapalił się do wyprawy i giermkowania, i nie musiał go nasz rycerz dłużej namawiać: Wyznaczywszy dzień i godzinę, zawiadomił Sancza, aby ten także zaopatrzył się w co potrzeba, nade wszystko zaś, by nie zapomniał o sakwach. Ten zapewnił, że nie zapomni nie tylko o sakwach, lecz również o bukłaku do wina, tudzież

ośle do dźwigania jego giermkowskiej tuszy, a wreszcie o wyspie, która będzie mu przyświecała z dala. Cóż, każdemu musi coś przyświecać w bohaterskich wędrówkach Don Kichotowi przyświecał obraz Dulcinei, Sanczowi wyspa bogata, którą miał rządzić; trudno mieć coś przeciwko takiemu czy innemu przyświecaniu, nie bardzo natomiast był w smak Don Kichotowi ten osioł, na którym zamierzał wyruszyć Sanczo. Osioł, pracowity i pożyteczny zwierzak, po dziś dzień w estymie jest u chłopów hiszpańskich, był i w czasach, o których mowa, ale nie da się też specjalnie ukryć, że nie uchodzi i nigdy nie uchodził za zwierzę wykwentne bądź szlachetne. Nie ulegało wątpliwości, że żaden rycerz nie jeździł na ośle, czy natomiast zdarzało się to giermkowi, Don Kichot ani rusz nie mógł sobie przypomnieć, sprawdzić zaś też nie mógł, w domu bowiem nie pozostała ani jedna książka, która mogłaby rozstrzygnąć tę kwestię. W końcu zgodził się na Sanczopansowego osła, postanawiając, że przy pierwszej sposobności daruje giermkowi odpowiedniejszego wierzchowca, zdobytego na wrogach.

Nic nikomu nie mówiąc i dla bezpieczeństwa nie żegnając się z nikim, Sanczo Pansa zatem – z żoną i dziećmi, Don Kichot – z gospodynią i siostrzenicą, że nie wspomnę o proboszczu tudzież balwierzu, w oznaczonej chwili rycerz z giermkim puścili się w drogę, było to zaś jeszcze wcześniej przed świtem niż za pierwszym razem, właściwie głęboką nocą, tak iż kiedy dzień zaświtał, byli pewni, że już żadna pogoń ich nie doścignie.

Don Kichot chudy i długi na Rosynancie jak on kościstym jechał przodem, Sanczo Pansa pękaty na osiołku brzuchem powłóczącym po ziemi, z przytroczonymi do siodła sakwami i bukłakiem, parę kroków za nim, droga była ta sama, co za pierwszym razem, i w górze jasne niebo to samo, ale ci dwaj na drodze i pod niebem – teraz dopiero tacy, jak być powinni, nierozłączni, różni i nie do pomyślenia osobno – Don bez Sancza, Sanczo bez Dona.

Jakiś czas jechali niewiele mówiąc, najwyżej coś tam o drodze kładącej się pod kopyta wierzchowców i słońcu wspinającym się uparcie po niebie jak biedronka po liściu, aż Sanczo Pansa nie wytrzymał dłużej niepewności, która musiała go trawić od chwili wyruszenia z rodzinnego obejścia, i rzucił, niby to spokojnie i obojętnie:

– Jeżeli wam się zdaje, panie błędny rycerzu, że ja nie poradzę rządzić tą wyspą, którą przyrzekliście mi ofiarować, to jesteście w wierutnym błędzie. Jeszcze jak poradzę, choćby była sto razy większa od naszej wioski!

A gdy Don Kichot nic na to nie odpowiedział, Sanczo Pansa z widoczniejszym już niepokojem zapytał:

– Długoż to trzeba czekać na zdobycie tej wyspy?

– Możliwe, że bardzo krótko – odrzekł Don Kichot. – Owszem, zdarzali się i tacy błędni rycerze, którzy dopiero na starość nadawali spracowanemu giermkowi tytuł hrabiego jakiejś przełęczy albo przylądka, co do mnie jednak, to jeżeli przed końcem tygodnia zdobędziemy godną tego miana wyspę, gotów jestem z miejsca obdarzyć cię jej koroną.

– Niby że zostałbym królem tej wyspy?

– Dziwniejsze jeszcze rzeczy zdarzały się w dawnych czasach.

– A moja kobieta panią królową?

– Któż śmie o tym wątpić?

– Za przeproszeniem, ja śmiem wątpić. Nie znacie jej i mówię wam, wasza nieznajomość, że królowa to dla mojej kobiety trochę za dużo. Z bożą pomocą, wystarczyłaby jej hrabina.

– Jak sobie życzysz – powiedział Don Kichot – ale naprawdę, Sanczo, wydajesz mi się za skromny, nie sięgając po to, co osiągnąć możesz bez trudu.

– Jeżeli uważacie, wasza uważność, że ona może być królową, to już się nie sprzeciwiam – powiedział Sanczo. – I chętnie sięgnę po wszystko, co mój dobry pan zechce mi wręczyć i co zdołam unieść.

– To rozsądna mowa – pochwalił giermka Don Kichot.